

Wiktor Zin „*Mały Katyń*”, w: *Półgłosem i ciszą*, PIW, Warszawa 1998, s. 95-112.

24 września 1939 roku, w niedzielę, wojska sowieckie zajęły Hrubieszów. Znaczyło to, że Armia Czerwona przekroczyła Bug — linię Curzona. Ze zjawisk szczególnych tego niedzielnego poranka wymienię trzy: w strzelaninie, która wywiązała się przy zdobywaniu miasta, zginęło kilku polskich żołnierzy. Na jednym z czołgów najeźdźcy wywiesili transparent z napisem: „Żołnierze polscy, poddawajcie się, wspólnie pobijemy wroga.” W końcu grupa krasnoarmiejców uczestniczyła w Mszy świętej. Nigdy później nie widziałem ludzi równie przerażonych co ciekawych, ale rozkaz był rozkazem. Po tym nabożeństwie, na którym i ja byłem, mieszczanie orzekli: „Pośród nich też są wierzący katolicy tak jak my.” Tymczasem od strony Uściługa włodzimierskim traktem ciągnęły tysiące pojazdów, czołgów, armat i ciężarówek wyładowanych mrowiem wojska. O tym, że Rosjanie przyjdą, wiedzieli wszyscy. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy to, co wydarzyło się 17 września. Niewielu jednak miało świadomość, że w granicach Polski zjawia się nowi, okrutni okupanci. Tutejsi ludzie znali na ogół język rosyjski, chętnie słuchano Moskwy. Radio sowieckie głosiło, że uciemionej Polsce należy jak najrychlej pomóc. Na pomoc tę wielu oczekiwało. Najbardziej entuzjastycznie do bolszewików ustosunkowani byli Żydzi. W prowadzonych rozmowach zapowiadali: „Wy teraz zobaczycie, co to dobrobyt i jak naprawdę wygląda wolność. Teraz zacznie się nasz czas.” Z perspektywy lat nieświadomość tych ludzi budzi już tylko politowanie. Wielu mieszkańców wyszło tego niedzielnego dnia na ulicę, by stwierdzić, co u Ruskich zmieniło się od czasów carskich. Rozmawiano z żołnierzami, częstując ich tytoniem. Tamci pożywienia przyjmować nie chcieli, chociaż w ich oczach czaiło się pożądanie, zwłaszcza na widok pszennego chleba i słoniny. Dziwna to była armia. W brezentowych butach, z karabinami na konopnych sznurkach, w postrzępionych szynelach. Mój dziadek skwitował swe wrażenie trafnie: — Cóż pewnego można o nich powiedzieć — chyba tylko to, że jest ich bardzo dużo. Miasteczko zaroilo się tysiącami żołnierzy, którym zapewne pierwszego dnia zakazano wchodzenia do domów. Siedzieli pod płotami, spacerowali po rynku. Jedli śledzie, często bez chleba. A następne kolumny ciągnęły ze wschodu nieprzerwanym pochodem. Nie było słyhać ani strzałów, ani żołnierskich pieśni, ani wiwatów radości. Kilkunastu młodych Żydów i innych mieszkańców obdarowano karabinami i czerwonymi opaskami. Prowadzili oni kolumnę polskich żołnierzy. Pamiętam taki szczegół: jeden z jeńców podtrzymywał lewą ręką prawy krwawiący łokieć, spomiędzy palców ściekała mu krew. Dowódca konwoju, dostrzegłszy przerażenie w moich oczach, powiedział: — A ty, mały, nie wybałuszaj gał, to burżujska krew. Wiele jej jeszcze popłynie.

Żołnierzy polskich, o których piszę, rozstrzelano tego samego dnia pod północną ścianą kościoła garnizonowego i tam są pochowani. W odległości ledwie dwudziestu sześciu kilometrów na północny zachód od Hrubieszowa leży osada Grabowiec. Niegdyś gród, wzmiankowany już w XIII wieku, później stolica starostwa grodowego, z własnym zamkiem, a następnie już tylko zubożała osada, położona w malowniczo

uformowanym terenie. Ważność Grabowca zasadzała się i na tym, że krzyżowały się tu ważne drogi. Tuż przy miejscowości zwanej Górą Grabowiecką, nieopodal miejsca, gdzie stał zamek, trakt hrubieszowski rozwidła się. Jedna jego odnoga biegnie ku Miączynowi i Zamościowi, druga opada ku osadzie. Tam znów rozgałęzia się, prowadząc na Skierbieszów w lewo, na Chełm prosto, a w prawo na Uchanie. Wspomnieć tu wypada, że przy tej ostatniej drodze, w miejscowości Grabowczyk, stał kiedyś malowniczy dworek szlachecki, otoczony pysznym parkiem. Często gościem właścicieli tej posiadłości, państwa Czachórkich, bywał Henryk Sienkiewicz. Kto by pomyślał, że okoliczne jary, uroczyska i chaszczce posłużyły twórcy Trylogii do uformowania wizji Dzikich Pól? Z kolei jadąc w kierunku Skierbieszowa, dawnej własności Mościckich, mijano się zbitą kępą drzew — dorodnych klonów i jesionów. To cmentarz grabowiecki. Na pewno nie wszyscy wiedzą, że właśnie pośród tych szumiących olbrzymów pochowany jest znakomity, chociaż wciąż nie doceniany polski malarz Władysław Czachórski. Powróćmy jednak na główny trakt osady. Od Góry Zamkowej zaczynając opada on w kierunku rybnej niegdyś rzeczki Wolicy. Nieopodal znajduje się czworoboczny rynek, przy którym stał kościół, urbanistyczna jasność już zatarła się. Ten obecny kościół jest trzecim z kolei, zmienił styl i wielkość, tylko miejsce zajmuje to samo co poprzednie. Liczne drewniane kramnice otaczały rynek. Można tam było kupić i tyszowieckie buty, i brabanckie koronki. Po wielkich pożarach w 1814 i 1815 roku miasto ostatecznie podupało. Stało się tylko osadą słynną z hodowli gęsi. Godzi się wspomnieć, że przed wojną Żydzi łódzcy i lwowscy specjalnie zabiegali o kupno grabowieckich gęsi, których mięso, a szczególnie smalec, określano jako prawdziwy cymes. Gęsi pasły się na pochyłych zielonych stokach rzeki. Miały tu własne ścieżki i piaszczyste, osłonięte sitowiem mateczniki. Ale wracajmy do istoty naszej opowieści.

Tej niedzieli, 24 września 1939 roku, gdy Sowieci zajęli pobliski Hrubieszów, Grabowiec był wciąż wolny. Co więcej, zbierały się tu polskie oddziały, które nie zaprzestały jeszcze walki z Niemcami. Front przebiegał pod Cześnikami, bo Zamość zajęli już hitlerowcy. Rano odbyła się w Grabowcu msza polowa, którą celebrował nie zidentyfikowany kapelan. We mszy uczestniczyli żołnierze różnych formacji, a nawet — na własną prośbę — kilku jeńców niemieckich. Orkiestra wojskowa odegrała Boże, coś Polskę... (może było to ostatnie tej wojny wystąpienie polskiej orkiestry wojskowej?). Regularne oddziały formowały się z rozbitków i grup ciągnących głównie od strony Chełma. Zjawily się nawet trzy działa polowe. Sunęły w pobrzękujących zaprzęgach, wraz z jaszczami. Artylerzyści kroczyli pieszo, chcąc ulżyć utrudzonym koniom. Jakiś młody podchorąży zorganizował sprawny oddział łącznościowców. Do tej armii przyłączyło się kilku mieszkańców Grabowca, chwalcących się posiadaniem własnej broni i oprządzenia. Pochód ciągnący na Cześniki zamykała kawaleria, złożona z kilkudziesięciu jeźdźców i dwóch działek przeciwpancernych. Ludność obdarowywała wojsko żywnością. Kobiety wnosiły na drogę mleko, bułki i owoce. Było jakoś odświętnie, inaczej niż w każdą przeciętną niedzielę. Pożegnaniu żołnierzy towarzyszyły łzy, kwiaty i życzenia zwycięstwa. Od zachodu dochodziło głuche dudnienie dział. Wprawdzie wiedzano, że sytuacja jest poważna, nasi walczyli przecież nie pod Berlinem, ale pod Zamościem, wiele jednak obiecywano sobie po nowej linii obrony na Bugu, być może przy współudziale Rosjan. Wierzono też w miażdżącą ofensywę Francuzów i Anglików. Bardziej wtajemniczeni mówili o pojawieniu się na Wiśle łodzi podwodnych naszych zachodnich sojuszników (autentyczne!). Zresztą nadzieja w czasie wojny ma zupełnie inny wymiar niż podczas pokoju. Czasu wojny należy

nauczyć się tak jak czytania i pisania. Pod tym względem ludzie byli wtedy kompletnymi analfabetami. W niedzielną odwieczersz, gdy oddziały polskie opuściły Grabowiec, pozostał tu jedynie szpital polowy oraz kilkunastoosobowy oddział policji i wojska. Jego zadaniem była ochrona osady, szczególnie przed oskrzydleniem od wschodu. Ponadto coraz częściej zaczynały krążyć pogłoski o formowaniu się ukraińskich band, które napadały na tułające się po lasach i przysiółkach kilkuosobowe grupy polskich żołnierzy. Ponieważ istniała obawa przed niemieckimi nalotami, dwudziestu rannych żołnierzy pozostałych w Grabowcu umieszczono w murowanych piwnicach budynku szkoły. Łóżek w tym szpitalu nie było. Ludzie leżeli na słomie i plandekach. Krew sączyła się na brezent przez liche opatrunki. Na czele tego polowego szpitala stał doktor medycyny kapitan Henryk Wiślicki oraz dwóch innych oficerów. Jednym z nich był też lekarz, Henryk Wasilewski, lekko ranny, noszący lewą rękę na temblaku. Lekarstw już prawie nie było. Materiały opatrunkowe kończyły się. Niektórzy ciężko ranni wymagali natychmiastowych zabiegów operacyjnych. Nie gardźmy w historii epizodami, gdyż one ją tworzą. Grabowiecki proboszcz ofiarował na potrzeby szpitala alby i komże, które zamieniano na bandaże i operacyjne chusty. Piwnice szkoły wypełniał zaduch spoconych i gnijących ciał. Bolesne jęki i gwiżdżące oddechy mieszały się z szeptami modlitw. Wspomniany już proboszcz Grabowca, ksiądz Józef Czarnecki, udzielił tej nocy wielu rannym ostatniej pociechy. To wszystko, o czym napisaliśmy dotychczas, to na ogół znane fakty, o których opowiadają żyjący jeszcze świadkowie tamtych dni. Mniej natomiast wie się o tym, że tej pogodnej nocy od strony Miączyna w kierunku Grabowca podążała kilkudziesięcioosobowa grupa żołnierzy polskich. Dziś, po latach, jedni ich wspominają jako harcerzy, inni znów jako kadetów. Nieżyjący już sołtys, Władysław Kalinowski, o którym jeszcze tu wspomnimy, nazwał tych ludzi po prostu ochotnikami. — Młode to było — mówił — wymizerowane. Nie mieli już sił dojść do Grabowca. Zanocowali w miejscowości Góra Grabowiecka, właśnie nieopodal wzgórza zamkowego. Zajęli na nocleg jedną czy dwie stodoły. Rozmawiam bodaj z najstarszym mieszkańcem Grabowca, panem Edwardem Cieszkowskim. On też ma swą rolę w tej opowieści. Pytam go o najdrobniejsze szczegóły dotyczące tamtego wieczora. Staruszek złożył na kolanach wielkie spracowane ręce, wyblakłymi oczyma spogląda dalej, niż sięga horyzont.

— Ja nigdy tej niedzieli nie zapomnę — mówi. — Było straszno, gdy się ściemniło. Na cmentarzu głośniejsz niż zwykle krakały wrony. Ludzie snuli się po ulicach jak mary. Wszyscy oczekiwali na coś, czego nie sposób było ani uniknąć, ani odwołać. Od strony Cześnik ustała strzelanina.

Nad Grabowcem wstawał mokry, jesienny świt. Z szarawej mgiełki wyłaniały się strzechy, stogi, plecione płoty. Gdyby nie krakanie wron, to określenie „cichy poranek” najlepiej charakteryzowałoby nastrój. I nagle o godzinie 6.45 od strony hrubieszowskiego traktu rozszczękał się karabin maszynowy. W ślad za jego zajadłym ujadaniem rozpoczęła się kanonada pojedynczych strzałów, podsumowanych kilkoma wybuchami granatów. Wszystko to trwało nie dłużej niż dziesięć minut. Później zapanowała cisza. Ludzie powychodzili z mieszkań. Niektóre kobiety trzymały w ręku różańce. Wtedy właśnie ktoś krzyknął: — To jakaś banda od Bereścia nadciąga!

W tym czasie zza stodoł wyjechał kilkuosobowy zwiad polskiej kawalerii. Skąd się wzięli, gdzie byli ukryci tej nocy, nikt nie wiedział. Ich dowódca podał komendę: „Z koni zejść.” Sam jednak pozostał na koniu i głosem ociekającym rozpaczą zawołał: — To nie banda, to bolszewicy. Niech nas Bóg ma w swojej opiece. Zaraz później ze swoimi ludźmi i końmi skrył się pomiędzy stodołami. Tymczasem od strony Góry Zamkowej, po pochyłości drogi, po ścieżkach na gęśich pastwiskach sunąły zaczęły ku Grabowcowi grupy jeźdźców. Siedzieli na małych kosmatych

koniach. Niektórzy strzelali, nie celując, inni krzyczeli: „Hura!” Przypominali wielkie stado szarańczy, która potrafi przykryć sobą całe pola. Najbardziej charakterystyczną częścią munduru tego wojska były czubate czapki z nausznikami i wielką czerwoną gwiazdą. Mieli jakby za długie karabiny ze szpikulcami bagnetów połyskujących groźnie jak szewskie szydła. Wszystko inne w ludziach i koniach było matowe i jakby przerdzewiałe. Konie najeźdźców człapały i po stromych ścieżkach, i po podmokłych wertepach. O godzinie 9.30 doszli do mostku na Wolicy.

I wtedy wydarzyła się rzecz nieprawdopodobna. Gdzieś spoza opłotków zaatakował bolszewików ów kilkusobowy polski zwiad. Zginęli wszyscy, odeszli zgodnie z honorem, tylko czy równie w zgodzie z, logiką? Tu nadarza się okazja drobnej konfrontacji poezji z historią. Kawalerzyści śpiewali: „Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie...” I spadł. Dowódca polskiego oddziału został zabity tuż przy moście, od strony osady. Jego koń jakby zszokowany pocwałował do przodu, ale w pewnej chwili zatrzymał się i stąpając nogą za nogą powrócił do swego jeźdźcy i pana. Pochylił głowę i zaczął go obwąchiwać i parskąć, jakby chcąc udzielić pierwszej pomocy. Jakaż musiała być zaciekłość najeźdźców, którzy tego rosnego i dorodnego konia zastrzelili. Padł tuż obok dowódcy oddziału. Tymczasem czerwonoarmiści zajmowali już całą osadę. Zabijali wszystkich odzianych w polskie mundury lub nawet w wojskowe buty. W tym ostatnim przypadku chodziło jedynie o to, by swe brezentowe zamienić na prawdziwe, skórzane. Zdobywcy byli rozwścieczeni, chociaż nie pijani. Sądzono, że to odwet za rok 1920. Rzecz jednak — jak się okaże — miała bardziej lokalne podłoże. Teraz jednak naszą opowieść należałoby rozdzielić co najmniej na trzy nurty, ten główny i dwa poboczne. Zaczniemy od tych ostatnich. O godzinie 10.00 Grabowiec został ostatecznie zdobyty. Teraz padały już tylko pojedyncze strzały. Prerażeni mieszkańcy na ogół nie opuszczali swych domów. Kwadrans później przed budynkiem gminy zgromadziło się nieliczne grono grabowieckich komunistów. Grupa ta składała się z kilku młodych Żydów i paru starszych Polaków, z Janem Konikiem na czele. Pośród nich znalazły się i dwie dziewczyny. Wszyscy zgromadzeni przed gankiem mieli na rękawach czerwone opaski, jakby od dawna przygotowane. Jeden z uczestników trzymał przed sobą kuchenną stolnicę, na której widniał napis po rosyjsku: „Chwała wyzwolicielom”. Litery namalowano rzadką czerwoną farbą, która tworzyła zacieki. Dlatego później mówiono, że była to krew. Do miejscowych komunistów podjechał wkrótce dowódca zwycięzców lub jego zastępca do spraw politycznych. Właśnie miał się zacząć mityng. Niektórzy mieszkańcy Grabowca uznali, że teraz przebywanie w pobliżu budynku gminy stanowi najbezpieczniejszy sposób przetrwania. Stanęli wokół tych z czerwonymi opaskami. To właśnie dzięki nim mamy dokładną relację o przemówieniu sowieckiego dowódcy i o tym wszystkim, co się tam wydarzyło, a do czego polscy komuniści w niemały sposób się przyczynili.

Sowiecki komisarz nie zsiadając z konia zaczął tak: — Towarzysze! Doczekaliście szczęśliwie dnia swobody. Wiem, ile wycierpieliście od obszarników, księży i wszelkiej burżuazyjnej swołoczy. Teraz poznacie, czym jest prawdziwe swobodne życie. Wasz kościół stanie się wnet kinem. Każdy będzie za darmo oglądał filmy i uczył się. Stworzycie u siebie kołchozy i aniele. Wszyscy będą jedli mięso i słoninę. Nikomu nie zabraknie butów. Tylko że najpierw — jak mówił Lenin — wrogów klasowych należy zdeptać, tak by nigdy więcej nie podnieśli głowy. To wiedzieć powinni wszyscy.

Za chwilę powtórzył: — Wszyscy... tylko ilu was tu jest? Dwudziestu? A może tylko dziesięciu? Gdzie reszta? I gdzie są ci szubrawcy, którzy jeszcze wczoraj paradowali po tej ulicy? Czy nie wstyd wam, komuniści, że żaden z was nie uprzedził swych wyzwolicieli o tutejsze) zajadłości?

Ja, job wa-szu mać, więcej niż stu ludzi tu straciłem. Nie tak wita się tych, co swobodę niosą. A może i wy Polaczkom sprzyjacie? Wtedy jedna z dziewczyn stojących w grupie powiedziała: — Towarzyszu komisarzu, my wiemy, jak i co. My wskażemy wam, komu śmierć pisana. A temu, co stało się na hrubieszowskiej szosie, winni są ci, którzy uciekli, bojąc się zemsty ludu. My poprowadzimy was po nitce do kłębka.

I tu rozpocząć należy drugi poboczny nurt naszej opowieści, on bowiem doprowadzi nas do głównego. Dowódca polskich oddziałów opuszczających osadę, bojąc się niemieckiego oskrzydlenia, a może mając sobie tylko znane wiadomości o zajęciu Hrubieszowa przez Sowieców, ubezpieczył Grabowiec od wschodu. W miejscu najdogodniejszym z dogodnych ustawił ciężki karabin maszynowy ze sporą ilością amunicji. Z wyznaczonego stanowiska widoczny był trakt hrubieszowski i opadające ku południowi ścierniska. Nawet drzewa przydrożne — wtedy niewielkie — nie osłaniały tu zakola drogi. Z tego miejsca dobrze okopana załoga mogła bronić się długo i skutecznie, zadając nieprzyjacielowi wręcz olbrzymie straty. Bez broni stromotorowej i pancernej trudno było ich zlikwidować. Oddział sowieckiej kawalerii podążający od Hrubieszowa znaczył swą drogę krwawymi porachunkami. Witający najeźdźców komuniści wskazywali winnych. W Bereściu zabito ośmiu policjantów, z których tylko czterech było w mundurach. Jechali więc jako triumfatorzy Zapiewajło zaintonował pieśń „Nasz gieroj Czapajew...”, ale śpiew podjęło tylko paru żołnierzy. Inni rozmawiali o dobrach rozmaitych, które zobaczyli podczas tej wyprawy. Pieśń zamarła. Przed godziną siódmą pierwsze oddziały zbliżyły się do Grabowieckiej Góry.

Celowniczy polskiego karabinu maszynowego musiał być wytrawnym żołnierzem. Może już w ciągu trzech tygodni tej wojny swe teoretyczne wiadomości wsparł bojową praktyką. Oczekiwał na szosie zwiadu, zobaczył tłum jeźdźców. Nie spieszył się. Postanowił dopuścić wrogów bardzo blisko. Jego pole obstrzału zwiększało się w miarę, jak wydłużała się konna kolumna. Gdy czoło jej znalazło się na wysokości pierwszych stert zboża, tuż przy osadzie, celowniczy nadusił spust i zaczął pracować po ludziach i koniach. A może lepiej powiedzieć: przejechał po nich śmiercionośnym szwem, takim gęstym, dziurawiącym stebnowaniem. Rozpoczął obstrzał od tyłu kolumny i wiedział, co czyni. Każdy człowiek w obliczu nieznanego niebezpieczeństwa, zanim je rozezna, instynktownie cofa się. Ponieważ zaskoczenie było kompletne, czoło kolumny z jadącym tam dowództwem cofnęło się. Na szosie powstał nieprawdopodobny zator. Rżenie i kwiczenie koni mieszało się z jękami umierających. Jakiś wóz okryty plancką zapłonął jak pochodnia. Zaraz później zaczęły wybuchać na nim miny lub granaty. A karabin maszynowy wciąż klekotał. Umilkł nagle. To sowiecki snajper, wdrapawszy się na drzewo, zabił polskiego żołnierza — jedyne, jakiego dostrzegł. Gdzie podzieli się inni? Tego nie dowiemy się zapewne nigdy. Może przestraszyli się nawały wrogów i uciekli. Może uznali dalszą walkę za bezcelową. A może nigdy nie istnieli? Na posterunku pozostał jedynie kapral — celowniczy.

I tu opisać należy pewien wcale niebłaży szczegół. Zabity kapral leżał w kałuży krwi; był blondynem o kędzierzawych włosach. Ściągnięto mu buty, a później, gdy rozpięto pas, okazało się, że bohater był obrzezanym Żydem. Potwierdzenie historyczne opisywanego szczegółu jest takie: wiadomość, że jeden Żyd wykosił kilkudziesięciu krasnoarmiejców, stała się sensacją, równie wielką dla Polaków, bolszewików, jak i dla miejscowych komunistów. Sprawa poszłaby może w niepamięć, gdyby nie miejscowy kahał. Starzy Żydzi kazali tym młodym z czerwonymi opaskami porozumieć się z komisarzem, po to, aby zabitemu urządzić zgodny z Zakonem

pogrzeb. Sprawę na pewno poparto jakąś hojną daniną. Komisarz zgodził się. Pogrzeb odbył się na miejscowym kirkucie. Mieszkańcy Grabowca pamiętają i to, że kilku brodatych Żydów w chałatach dłużej pól dnia w miejscu, gdzie stał karabin maszynowy. Czego tam szukali? Zgodnie z nakazem swej religii nie mogli pozwolić, by najdrobniejsze ślady przelanej krwi prawego Izraelity pozostały gdzieś na polu, pod dziką gruszą. To może poświadczyć wielu żyjących jeszcze mieszkańców Grabowca. Skąd pochodziłeś, nieznanemu kapralu, i kto uczył cię miłości Ojczyzny?

Zbliżało się południe. Kapitan Wiślicki zdecydował, że natychmiast musi przeprowadzić zabieg amputacji nogi jednemu z ciężko rannych żołnierzy. Wyszedł ze szpitala w mundurze. Ludzie doradzali mu, by przebrał się w cywilny garnitur. Ktoś nawet dostarczył mu zwykłe kortowe ubranie. Polski oficer odpowiedział: — Nigdy nie rozstanę się z mundurem. Jestem zresztą lekarzem, o czym świadczy opaska z czerwonym krzyżem na ramieniu. To uszanuje każdy nieprzyjaciel. Kapitan szczęśliwie doszedł z polowego szpitala do mieszkania miejscowego lekarza, doktora Włodzimierza Stankowa. Czytelnikom należy się parę zdań wyjaśnienia, kim był ten człowiek. Osiadł on przed laty w Grabowcu, był białogwardzistą, pułkownikiem w oddziałach Denikina, któremu udało się zbiec za granicę. Ponadto ukończywszy studia w Dorpacie, po wieloletniej praktyce, od wojny japońsko-rosyjskiej, zdobył olbrzymie doświadczenie; stanowił przykład uniwersalnego lekarza. Wraz z dwiema córkami, Olgą i Heleną, mieszkał w Grabowcu, mając liczną rzeszę pacjentów, a nawet wielbicieli, wierzących w niego jak w cudotwórcę. Nigdy nie nauczył się poprawnie mówić po polsku. Natomiast gdy sobie popił, deklamował poezje i śpiewał po rosyjsku. Przechodnie, zatrzymując się często obok otwartych okien jego domu, słyszeli słowa „monumentalnego” carskiego hymnu: Boże, cara chroni... Bo też Stankow miał równie potężne miłości, co i nienawiści. Nienawidził całym sercem Kiereńskiego, Trockiego i Lenina. Kochał bez reszty Romanowów. Tego dnia, pomny przysiędze Hipokratesa, wziąwszy instrumenty medyczne, Stankow wyszedł, by pomóc polskiemu koledze w amputowaniu zgangrenowanej nogi. Spotkali się na ulicy tak nikczemnej, że od lat nikt nie zaproponował nawet zmiany jej nazwy. Pozostała po prostu ulicą Kozią. I tu dopadł ich niski krasnoarmiejec na pałkowatych nogach. Czerwonoarmistę rozwścieczył mundur polskiego kapitana, a o Stankowie musiał już też coś wiedzieć, bo nazwał go „kontrewolucyjną świnią”. Bolszewik zachowywał się arogancko, wywijając wyjętym z drewnianej kabury mauzerem i krzyczał: — Mierzawcy! Obydwu zabiję jak psów! Nawet nie próbujcie prosić o łaskę! Żadnej łaski nie będzie. Los jednak pokierował sprawą nieco inaczej. Nieopodal tych trzech — kata i dwóch ofiar — znalazła się nagle córka Stankowa — Olga. Zaczęła błagać bolszewika o darowanie życia ojcu, człowiekowi bogobojnemu i porządnemu, co poświadczyć mogą mieszkańcy gminy i powiatu. Gdy wszelkie argumenty o potrzebie przebaczenia zawiodły, zrozpaczona kobieta powiedziała: — Chcesz go zabić tutaj, a on pochodzi aż z Woroneża. I to ostatnie trafiło do świadomości krasnoarmiejca. Popatrzył na Stankowa przyjaźnie i powiedział: — Ja tożę. I tak odepchnął Włodzimierza Michajłowicza Stankowa jako krajana. Przed nim pozostał jedynie Polak w mundurze. Kapitan Henryk Wiślicki zginął zastrzelony z pistoletu. Przed śmiercią zdążył krzyknąć: „Niech żyje Polska!” Musiał być świadomy swego losu, o czym świadczyłaby zmięta fotografia żony, którą ścisnął w martwej dłoni.

Stoję na ulicy Koziej w Grabowcu, pomiędzy organistówką i budynkiem dawnej szkoły, w której mieścił się wtedy szpital polowy. W tym miejscu tak niewiele się zmieniło mimo upływu półwiecza. Taki małomiasteczkowy zaułek. Można odnaleźć tu sztachety, rosnące przy nich pokrzywy i rozłożyste liście łopianów. Złocą się dwa bicze dziewanny. A w tle trwają przygarbione latami domy. Kto by pomyślał, że ten najzwyczajniejszy fragment najprzeciętniejszej

polskiej osady jest aż tak mocno osadzony w naszej historii i tego nie da się odkreślić grubą kreską.

Doktora Henryka Wasilewskiego, który mimo groźnego postrzału w lewą rękę opiekował się poszkodowanymi kolegami, zakłuto bagnetem. Zmarł w mękach z powodu upływu krwi. Czerwona piana na ustach mogła oznaczać, że miał przebite płuco. Zamordowano wówczas jeszcze jakiegoś oficera ze służby medycznej. On też kategorycznie odmówił zdjęcia swego munduru. Nie znamy jego nazwiska, istnieją wszakże poszlaki, że mógł to być podchorąży lub porucznik Fiuta.

I tak szpital polowy w Grabowcu, w którym leżało dwudziestu rannych, w tym ten jeden ze zgorzelą oczekujący na amputację nogi, pozostał bez żadnej medycznej opieki.

O godzinie 14.30 w gminie zamienionej już na komitet rewolucyjny odbyło się ważne zebranie. Stanowi to moment niezwykle istotny dla naszej opowieści. Każde zebranie bowiem to zbiorowość, która potrafi uskrzydlić najmniej logiczne i najbardziej okrutne decyzje. Ma też moc rozmydlania odpowiedzialności. To zebranie zwołała strona sowiecka. Poza ukonstytuowaniem się jaczajki partyjnej na tym właśnie „rewolucyjnym posiedzeniu” postanowiono ewakuować z Grabowca szpital polowy. Ewakuacja to słowo raczej dobroczyenne. Oddała ono wszystkich od grożącego im niebezpieczeństwa. Czy to nacechowane samarytańskim duchem słowo można w ogóle kojarzyć ze zbrodnią? A jednak... O godzinie 17.00 25 września 1939 roku ci z czerwonymi opaskami zaczęli wypędzać rannych z ich legowisk. Do pomocy użyto dwóch niegrabowieckich mężczyzn, odzianych jakby w nieco za małe ubrania. Na drodze uformowano kolumnę. Ranni musieli o własnych siłach dojść do Góry Grabowieckiej. Tam miały na nich oczekiwać podwozy, którymi miano odtransportować ich do hrubieszowskiego szpitala. Rodzi się pytanie: dlaczego te furmanki nie podjechały pod szkołę? Dlaczego mieszkańcom Grabowca nie pozwolono zbliżyć się do rannych? Pytamy retorycznie o to, na co mamy jednoznaczną odpowiedź. O godzinie 17.15 ruszył spod starej grabowieckiej szkoły makabryczny pochód ludzi szerniałych, kulawych, z usztywnionymi ramionami i nogami. Silniejsi nieśli konających, trapionych gorączką. Niektórzy kroczyli milcząco, posuwając się drobnymi, dziecinnymi wręcz krokami. Inni postękiwali za każdym oddechem, a byli i jęczący z bólu. Ci z eskorty kłuli ich bagnetami, popędzali, przeklinając własne matki, cara i Boga. Nigdy nie zastanawiał mnie bezsens śmierci. Widzę w niej bodaj czy nie najsprawiedliwszy, logiczny zamysł Stwórcy. Zawsze jednak zastanawiałem się nad sensem bólu przed śmiercią, szczególnie tego bólu zadanego jednemu człowiekowi przez drugiego, który przecie ma świadomość, że i on umrze, i to być może w takich samych okolicznościach. Tkwi w tym jakiś nonsens i paradoks. Kolumna rannych posuwała się powoli. Może ktoś pomyślał wtedy: dlaczego jedni osiągają wieczność prawie za darmo, a my musimy szukać jej aż tam hen, na wyżynach Zamkowej Góry. Eskorta wypełniała jedynie rozkaz komitetu rewolucyjnego — ewakuowano z Grabowca szpital polskich rannych żołnierzy. Słowo „towarzysz” zostało w ostatnich latach przez wielu ludzi znienawidzone lub wyszydzone, tymczasem istnieją sytuacje, kiedy słowa tego nie da się zastąpić ani „kolegą”, ani „przyjacielem”. Gdy kolumna rannych mijiała most na Wolicy, most, przy którym leżał jeszcze zabity przed południem koń polskiego kawalerzysty, jeden z rannych osunął się na ziemię. Wtedy dwaj nieco silniejsi towarzysze niedoli unieśli go i chwyciwszy pod ręce powlekli za innymi. Trudno dziś powiedzieć, czy wszyscy ranni doszli do wyznaczonej im mety. A jeśli nawet to zdołali uczynić, to czy byli przytomni i świadomi. Dwóch przyniesiono na noszach. Ci na pewno nie zdawali sobie sprawy z niczego. Było już zupełnie ciemno. Zapalono kilka pochodni. Właśnie wtedy rozległy się pierwsze strzały. W jednym z gliniastych zakłęśnień Góry Grabowieckiej rozpoczął się potworny

mord na polskich żołnierzach. Raniły ich kule hitlerowskie, dobiły stalinowskie. Układ von Ribbentropa i Mołotowa owocował. Na Górze Grabowieckiej znalazło się kilka ładownych dworskich furmanek. Mieszkańcy okolicznych zagród sądzili, że podwozy są przygotowane po to, by odwieźć pomordowanych na miejsce pochówku. Było to błędne mniemanie. Do wozów tych będziemy musieli jeszcze powrócić, jako do jednego z najbardziej zagadkowych elementów opisywanych wydarzeń. Tymczasem na Górę Grabowiecką zajechał mały pleciony wózek zaprzężony w chudą chabetę. Tych dwóch niegrabowieckich mężczyzn zaczęło wrzucać na niego ciała pomordowanych. Mieszkał wtedy w Grabowcu Żyd woziwoda, którego przezywano Kuka. Inni Żydzi nazywali go Ajpe, co oznaczało głupawy, a on był po prostu biedny i tak samo zagłodzony, jak jego koń. Otóż jego pobratymcy, ci z czerwonymi opaskami, kazali mu zwieźć ciała pomordowanych na cmentarz. Jadąc po raz ostatni Kuka wiózł pomiędzy pomordowanymi tych dwóch, którzy odziani byli w przykrótkie spodnie. A Żyda Kukę i jego żonę w kilka dni później znaleziono martwych. Za dużo widzieli i wiedzieli, musieli zginąć od trucizny. Znow wakacje, przyjechałem do Grabowca, do swych starych przyjaciół. To oni pomogli mi w rozsypnięciu wielu tajemniczych węzłów tych wydarzeń, które czas zdążył zatrzeć, a niekiedy i wypaczyć. Pan Edward Cieszkowski liczy ponad osiemdziesiąt lat, jest jednym z żyjących jeszcze ludzi, którzy tamtej nocy pochowali „ewakuowanych” ze szpitala na grabowieckim cmentarzu. To on opowiadał mi kiedyś o nastroju niedzielnego wieczoru, gdy Polacy odeszli. Teraz jest starszy jeszcze o kilka lat. Może dlatego jego słowa nabrały większej wagi. Patrzę na niego i chciałbym się wypytać o najdrobniejsze szczegóły dotyczące tragicznych dni. Przecie Cieszkowski z nieżyjącym już dziś sołtysem Kalinowskim zajęli się wtedy pogrzebem nieszczęśników. Pytam staruszka:

— Czy świecił tej nocy księżyc? Czy ktoś was pilnował? Czy wszyscy przywiezieni żołnierze byli już martwi? Starzec patrzy na mnie z pobłażaniem. Mówi cicho: — Spełniliśmy tylko swój chrześcijański i obywatelski obowiązek. Któż z nas wtedy wiedział, czy nie podzielimy losu tych pogrzebanych? Dostrzegam, że mój rozmówca w trakcie opowieści sam się wzrusza. Opowiada dalej cicho i z rozważą o tym, jak ostrożnie układali ich, jednego przy drugim, w tej ziemi, której bronili. Leżą tam od lat, bez trumien, nadzy, poszarpani kulami. Każdy ma strzaskaną czaszkę. Tylko niektórzy zachowali nazwiska. Innym i to odebrano. Tylko Bóg rozpozna ich na Sądzie Ostatecznym. Znow minął rok. Tym razem zebraliśmy się w sali katechetycznej grabowieckiej parafii. Mój przyjaciel, pan Sawiniec, postarał się, by w spotkaniu, zorganizowanym na moją prośbę, uczestniczyli najstarsi ludzie Grabowca. Czytam im mój tekst, prosząc o zwrócenie uwagi na błędy i nieścisłości. Większych uchybień nie znajdują, są poruszeni. Nasycają moją narrację niewiarygodnymi wręcz szczegółami. Nie opiszę ich, bo roznieciłyby tłący się płomień nienawiści. W końcu ich wspomnienia dochodzą do punktu, którego sam nie potrafiłem ani wyjaśnić, ani do końca zbadać. Kiedyś sołtyś, pan Kalinowski, opowiadał mi o jeszcze jednym zdarzeniu, które miało miejsce tamtej nocy na Górze Grabowieckiej. Pytam zebranych w salce parafialnej, czy coś słyszeli o harcerzach lub kadetach. Jak to naprawdę było? Patrzę na mnie zdziwieni. Jakże można było o tym zapomnieć? Padają nowe nazwiska świadków: Biernacki, Kozłowski. Tylko, że wtedy żadnych zwłok nie odnaleziono, a wszyscy wstrząśnięci byli wymordowaniem rannych.

Otóż w świetle faktów, a nie dramatycznych wspomnień, okazało się, że owej nocy pod osłoną pierwszej zbrodni dokonano w Grabowcu drugiej, jeszcze okropniejszej. Wspomniałem już o dwudziestu kilku, a może trzydziestu „ochotnikach” maszerujących od strony Miączyna ku Grabowcowi. Polski dowódca resztek przerwanego frontu kazał tym najmłodszym maszerować na tyły, chcąc ocalić ich od niewoli. Tak naprawdę, to nie wiemy, ani kim byli, ani ilu ich było, ani



skąd pochodzili. Pewne jest, że do Grabowca nigdy nie doszli. Zanocowali w dwu zagrodach stojących przed Górą Grabowiecką. Doszli tam tak zmęczeni, że pokładli się w stodołach, na słomie i sianie. Bolszewicy odnaleźli ich koło północy. Podpalono stojący na uboczu stóg, otoczono zagrody. Wymordowano wszystkich. Leżący w chwastach mieszkańcy przysiółka widzieli to i mogą zaświadczyć. Różne są techniki mordowania. Te honorowe, z plutonem egzekucyjnym. Te masowe, gdy karabin maszynowy kosi ludzi ustawionych nad długą mogiłą. W końcu te najbardziej upodlane, sowieckie. Kat nie widzi twarzy swej ofiary. Stanowi to jedyny ludzki aspekt tego procederu śmierci. Zwyrrodnialec kat nie dostępuje tu łaski dostrzeżenia w oczach ofiary ani gniewu, ani przebaczenia, ani nawet obojętności. W tym konkretnym przypadku do zabicia każdej ofiary użyto aż trzech ludzi. Dwaj prowadzili skazańca, wykręciwszy mu wcześniej ręce. Niekiedy nawet nieśli go nad ziemią. W tym czasie kat strzelał, przykładając lufę do potylicy. Nie musiał celować, nie mógł chybić, nie miał potrzeby poprawiania swego błędu. W tych warunkach każdy strzał niósł śmierć. Sposób niezwykle skuteczny, zastosowany później w Katyniu, a wypracowany już wtedy i zastosowany parę dni po przekroczeniu granicy polskiej. Przerazenie mnie ogarnia, gdy to piszę. A jaki strach musieli czuć ci, którzy zza płotów oglądali kaźń! A ci nieszczęśnicy, ledwie zbudzeni ze snu, którym skracano ich młode życie? Co oni czuli poza strachem? Czy mieli świadomość sensu swej śmierci? Bo tylko to w ich położeniu stanowiło ostatni jeśli nie promyk, to bodaj poblask nadziei. Przygotowane na Górze Grabowieckiej podwozy, o których wspomniano, wywiozły zwłoki pomordowanych w kierunku Chełma. I tu wszelki ślad po zamordowanych i furmankach ginie. Następnego dnia obfite strugi krwi na klinkierze szosy świadczyły, że tej nocy w Grabowcu wydarzyło się jeszcze coś, o czym nie wszyscy wiedzieli. Jest to nie wyjaśniona do końca zagadka śmierci kilkunastu, a może kilkudziesięciu harcerzy, kadetów czy ochotników. Może ktoś się i o nich upomni. Po dwóch tygodniach postoj, podczas którego zginęło jeszcze kilku polskich żołnierzy, bolszewicy opuścili Grabowiec. Wycofali się za Bug, oddając Lubelszczyznę hitlerowcom. Pozostawili po sobie nienawiść tak wielką, że później nie potrafiły jej osłabić ani wieczornice przyjaźni polsko-radzieckiej, ani uroczyste rocznice wielkiej rewolucji. Zresztą Grabowiec podczas okupacji stał się niepisaną stolicą Armii Krajowej obwodu hrubieszowskiego. Po wyzwoleniu wielu tutejszych ludzi przypłaciło swój patriotyzm więzieniem, torturami i śmiercią. Wracajmy do naszej opowieści. Otóż konieczne staje się jakieś jej podsumowanie. Dla mieszkańców Grabowca wydarzenia z 25 września 1939 roku stanowiły zawsze symbol stosunku komunistów wszelkiej maści do tego, co polskie. Ileż to razy delegacje mieszkańców osady udawały się do władz, prosząc o zezwolenie na postawienie pomnika lub bodaj pamiątkowego kamienia, który uczciłby pamięć bohaterów. Znamienna jest wypowiedź pewnego urzędnika szczebla wojewódzkiego w Zamościu: — Wyście pewnie poszaleli, towarzysze kombatanoci . Przecie Armia Czerwona wyzwoliła nas z faszystowskiej niewoli. Oni na swych bagnietach przynieśli nam wolność i sprawiedliwość społeczną. Uwolnili nas od obszarników i innych krwio pijców. A wy okazujecie im taką wdzięczność... Nieładnie... Nieładnie. Pomnik pomordowanym stawiajcie, to się chwali. Polska walczyła wtedy — jak wiecie — z Hitlerem. O tym możecie napisać, ale wara od szkalowania naszych wyzwolicieli, obrońców ładu społecznego. Zawsze zapytywałem siebie, czy ci instruktorzy, agitatorzy, prelegenci wierzą w to, co mówią, bo nie znają prawdy, czy też mają dwa oblicza. Do dziś nie potrafię z całą pewnością na to odpowiedzieć. Jeśli będziecie kiedykolwiek w Grabowcu, w miejscu, gdzie wydarzyły się opisane wypadki, spójrzcie na pomnik, który tamtejsza ludność wzniosła bohaterom polskiego Września. Do

głównej inskrypcji dodano później niewielką płytkę z napisem: „pomordowani przez Armię Czerwoną

”. Jak wielkie zmiany musiały zaistnieć w naszej ojczyźnie, by na cokole pomnika z orłem mogła znaleźć się ta lapidarna informacja. I tu można by naszą opowieść zakończyć, gdyby nie pewien zadziwiający fakt. Oto istnieją — nawet w Grabowcu — ludzie, którzy oczekują dnia i godziny, by właśnie ten napis wyrąbać, usunąć na wieki.

Innymi słowy, żyją pośród nas i tacy, którzy zdążyli zniechęcić prawdę. Ci ludzie są równie biedni, co niebezpieczni.

I jeszcze jedno. Na swego odkrywcę czekają groby owych harcerzy czy kadetów. Wcześniej czy później i im postawimy pomnik.

Wiktor Zin

PS. Marek Gąska

Uroczyste odsłonięcie Pomnika odbyło się w dniach 16-17 września 1989 r. Miejskowe władze w 1988 roku odmawiały zarejestrowania Komitetu i budowy Pomnika. Pan mgr Waław Jaroszyński, członek Komitetu, rozpoczął „działania” w Warszawie.

W związku z inicjatywą Pana Jaroszyńskiego

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

oraz Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego wyraziły zgodę na postawienie Pomnika.

Pan Waław Jaroszyński zmarł w maju br. Został pochowany na cmentarzu w Kazimierzówce pod Świdnikiem. Zostawił po sobie bogatą dokumentację dotyczącą historii powołania Komitetu i budowy Pomnika. Waław Jaroszyński został wyróżniony w 2008 r. tytułem Honorowy Obywatel Grabowca, a w lutym 2011 roku medalem „Pro Memoria”.

